

prawili w klechdach starzy ludzie... Że śledź węzów jest u bramy, które ani ciupagą zabić, ani głazem przywalić, gdyż śmierć się ich nie ima... A pono są sposoby i na te gady i na duchy... Zaklęcia jakieś, kwiat świętojański – i byli tacy co szli po skarby i królową, ginęli mnogo, aż jeden doszedł...

Ciarki przeszły po ciebie Jędrka. Wspominały się mu urywki baśni i oczy zwracały ku aliance, jakby naprawdę była zamkiem, a ona w nim królową. Ani ją węże strzegły, a przecież jakże mu się zdawała niedosiężna!

Wolałby iść na oręż, uwalniać ją z zaklęcia, nie bacząc co los zesze, walczyć na śmierć i życie, lecz byle o nią, byle ta zdobycz była jego.

A tu – ot sama była, w kruchej aliance, że i no wpaść tam rażno, porwać w ramiona i wziąć na własne...

A jednak, jakżeż to trudne było, nie do spełnienia! Nikt jej w pomoc nie przyjdzie, może nie krzyknie nawet, sama wpaśnie w objęcia, a przecież...

Czuł, żeby kroku nie uczynił, żeby skamieniał nim-by ruszył.

I znowu podniósł swoje powierne skrzypki, aby w nie welchnąć niemoc i rozczulone serce.

On – Junak, co się na turnie drapał niebotyczne gniazda sokole wypatrując, co lotem kozic pędził przez gazy i błyskawicą zjeżdżał piarzystym żłebem – tu czuł się trwożny niczem dziecko, tu ichu mu brakowało...

Słodkie, pieściwe głosy skrzypiec płynęły smętnie poprzez łakę, wnikały w regle, nizały się na limbowe igliwne wachlarzyki i szły obłocznem pleniem w nawę pachnącego wieczoru, niby rozdrżane pieśnią dymy w to światło iszczącej cuda wiosny.

Zmierzchniwy wieczór, jak strofa z strofą łączył się z nocą. Stopniał niewiedzieć kiedy w ciemne błękity, lotne, zawieszane nad ziemią baśniową przedzą.

Zmilkły Jędrkowe skrzypki utulone kołysanką, do łez ostatnich wyplakane i snem zmorzone. Zaległa cisza wielka, tylko smreczyna regli zdala się jeszcze pieścić echami pieśni i łączyć z cichutkim szumem odległych górskich potoków.

Kiedy ucichły struny, marzenia Janki jakby stuliły skrzydła pod umęczoną głowę. Zaciężyła jej cisza, dech wypierając z piersi i rozpraszając w cudowne wianki splecione myśli.

Aliści trwało to tylko krótką chwilę, bo znów ten szum cichutki przemówił do niej słodkim szeplem i jął kołysać ją nanowo.

I znów jak przedtem weszła w tęczowe światły rojeń, w jakieś świątynie kryształowe w których, prócz licznych paziów i urodziwych bożków – był i on Jędrak, smukły, w kierpcach na nogach, w obcisłych, wyszywanych portkach, z gunią białą przez plecy, jak ze skrzydłami i w kapełuszku małym na hardej głowie, z sznurkiem morskich muszelek...

Nie usłepował miejsca drugim, owszem, wyglądał teraz niby orzeł, zrywający się do pod-słonecznych lotów.

Patrzała nań z lubością, taki był jakiś inny, piękniejszy, jakby z porannej rosy i zorzy.

Niedługo, a wreszcie sam pozostał w tej niepojęcie dziwnej leśnej świątyni – i ona, pod arkadami zwiśających ku ziemi kwiatów, paproci i nienazwanej zieleni.

Dostrzegł ją w onych gąszczach, dobył skrzypki

z pod guni i szedł tak ku niej pełen nimbu, szczęśliwy, utęskniony, jak żywa harfa.

Jeszcze rozdzielało ich kilka kroków, dwa – jeden...

Jędrak przyklęka i składa skrzypki na szmaragdowym mchu.

Sklada jak serce swoje własne, jak dań pokorną, jak bezgraniczną miłość.

I nic nie mówiąc, z ekstazą w oczach, zwała się do jej nóg, w jakimś błagalnym szlochu, w którym rozkał się cały, z całym ogromem tęsknot, z gorączką wszystkich nocy, wszystkich zachwyków i uwielbień...

Drgnęła...

Jakby dłoń czyjaś ją dotknęła i wzięła w uścisk serce.

Gdzieś majaczenie się rozwiała, jak bańka przysły złudy.

– Czemu tak długo nie gra? – ozwał się szept jej ust, nagły, jak w przebudzeniu. – Ani do chaty wrócił, gdzie się zapodział?

Długie milczenie zdziwiło ją, niezrozumiale, nagłaco.

Nigdy jej o to nie szło, nie szukała przy-czyny, jak teraz właśnie.

– Może... – bała się myśleć.

Lecz myśl wróciła.

– ...może dziewczynę jaką przywiódł czarem swych skrzypiec...

– To być nie może... jednak mnie kocha... Jędrak nie zdradzi...

Nasłuchiwała, czy nie ułowi szeptów. Cisza była głęboka, lecz jakby tam, pod baldachimem limby coś się spełniało...

Trwożna, zazdrością nagłą owładnięta, zerwała się z ławeczki i wybiegła z aliany. Na świetle było jaśniej od gwiazd i srebrnego miesiąca. Poprzed oczyma Janki zarysowały się olbrzymie cienie gór, jakby mistyczne zwidy, lecz urok ten nie wstrzymał jej na miejscu, jak to indziej bywało.

Ostrożnie przeszła pomiędzy opłotkami, kierując kroki w regle.

Bała się wejść w mrok lasu, jednak przemo-gła bojaźń. Przesuwała się między drzewami cicho, jak łania, wypatrując, kędy mógł siedzieć Jędrak.

Pierwszy raz teraz coś ją natchnęło błyskawicznie, że Jędrak nie może być niczym, tylko ją musi kochać, bez względu, czy mu tę miłość odwzajemni... Na samo pomyślenie, że ktoś go może jej odebrać – dreszcz ją przechodził.

Coś rozpałało się jej w piersiach, poplątało ostatnie nitki, dzielące ich dotychczas. Każdy czyniony krok upiększał jego postać – czynił droższą, konieczniejszą. Nakaz ten szedł stanowczy, niecofnięty.

Dzająca, pełna domysłów, wychyliła twarz z lasu, tuż naprost limby.

W pierwszym momencie uderzyła weń pusłka i mocny zapach łąki.

Aż naraz...

Zoczyła go na trawie, leżącego na wznak, z rozkrzyżowanymi ramionami i serdakiem położonym popod głowę. Przy nim spoczęły skrzypki, tak unużone widać, jako i on. Obydwoje zdala się pieści uciśzyć.

Lniana koszula na jego piersiach była rozpięta, jak gdyby ciało spalone żarem szukało chłodu.

Leżał bez ruchu, z twarzą zwróconą w gwiaździste niebo, nie mogła jednak dojrzeć – zasnął, czy czuwa.

Odetchnęła głęboko, z widoczną ulgą i wsparła się o smreka.

– Jędrus... – zdało się zachybić na jej rozchyłonych wargach.

Nie wiedzieć, był li to szept, czy słodkie tchnienie duszy.

– Biedaku drogi – spis, czy marzysz o mnie? Jakiś ty piękny w tym bezwładzie, jak śpiący orzeł, co śni o słońcu... Jęprusi – szeptały te same wewnętrzne usta.

I położyła dłoń na wargach, jakby tłumila rodzące się wołania. Chciałaby krzyknąć jego imię i wybiec szczęśna do ust jego, jednak wstrzymała się co ledwie.

Chciała mu się napatrzyć, przyglądać jak najdłużej – taki był piękny na tej łące, w miesiąc, cznym cieniu limby i tak ta chwila była słodka.

Tak się cieszyła tym obrazem, że zadreptała w miejscu płochy, niby mała uradowana dziewczynka.

Płoniła się, posyłała mu całusy, półbojaźliwa, szczęśliwa, przedziwnie błoga obłana falą.

Wonie storczyków podniecały jej zmysły i przynosiły z sobą podszepty pragnień nieokreślonych, a tak rozkosznych, jak najśliczniejszy sen.

Czuła wyraźnie, że spadająca rosa potraça struny skrzypiec i poczyną balladę cichą, jak wiew motyli skrzydeł i tak świeżuchną, dyamentową, jak ta z powietrza mżąca rosa.

Zdawało jej się, że tworzy się legenda z tej czarodziejskiej nocy i uczuć ludzkich.

Wszystko, co jeszcze w więzach trzymało młodą miłość, zanikło w tej urodzie wiosnianych cudów, że obnażyła się wolna, pragnąca lotów i miraży.

I do tych krain najszczęśliwszych, bronionych strażą sługowych węzów, dotarł teraz w momencie Jędrak i bój rozpoczął...

Tam, za wysokim murem zamku, była jego królowna, której niósł wolność. Nie mieczem, ale ciupagą, szalem miłości i utęsknienia – rozlał naokół cielska smoków i parł przebojem ku wymarzonej komnacie...

Przymknął źrenice, aby nie widzieć we krwi drgających ciał, by się nie cofnąć z twogi i przerażenia, bo jeszcze krok, za tą żelazną ścianą – czeka na niego Szczęście...

Jeszcze krok jeden –

Janka nie mogła wystać dłużej.

– Jędrusi! – szepnęła głośnie i wypłynęła z lasu jak rusalka.

Jędrak wsparł się nagle na rękach i podniósł głowę pełen lęku. Nie wierzył uszom ani oczom – słyszał swe imię i naraz... jakaś srebrzysta postać...

Szła ku niemu po trawie, niby bogini nocy, niby ona królowna z zamku...

W miejsce lęku przykuło go zdumienie. Otwarł powieki jak mógł najszerszej, lgnąc wzrokiem do tej idącej zjawy.

– Jędrusi, to ja... nie poznałeś?...

Niebo się przed nim otworzyło –

Chciał skoczyć ku niej z okrzykiem szczęścia, ale ogromem zważyło się na niego...

Nie zdołał nawet podnieść ramion, bo już w tej chwili, jak wonny biały kwiat, Janka stanęła obok niego uszczęśliwiona, spragniona pieszczot, niepompna smutku i sierociwa...

Otoczyło ją męskie ramię, mocne, jak życie i jak ta noc – miłosne.

